

Zapach jędrzychowskich krajobrazów recenzja Teresy Toms

Ireneusz Staroń to pisarz i literaturoznawca młodego pokolenia (1991), który w prozatorskiej opowieści o przodkach wygnanych z Kresów (*Wzgórze Bzów*, Wydawnictwo Ursines, Czeladź 2023) kreuje świat dawnych zwyczajów, splatając zapamiętane rodzinne wątki, spisane opowieści, pozostawione dokumenty dziadka Józefa Jacha i jego żony Genowefy, z subiektywnym oglądem pamiątek i miejsc, w których bywał jako dziecko we wsi Jędrzychów na poniemieckich przesiedleńczych terenach Dolnego Śląska.

Dziadek autora Józef Jach przed wojną gospodarował pod Drohobyczem we wsi Rychcice, a w czasie wojennych zmagani pod pseudonimem „Ryś” brał udział w akcjach bojowych przeciw bandom UPA i w walkach z niemieckim okupantem (1942 – 1944). Ireneusz Staroń opowiada czytelnikom historię człowieka, którego podziwiał za wytrwałość budowania życia rodziny w nowym miejscu, bo przybył przecież wygnany z innego świata, którego granicy nie mógł już przekroczyć. Mówił niecodziennym gwarowym językiem z kresowym zaśpiewem, wiedział wiele o przyrodzie, o pszczołach i sianiu zboża, o sadzie i zbieraniu owoców. To wszystko fascynowało chłopca, który – gdy dorósł i wykształcił się na Uniwersytecie Wrocławskim – postanowił uczynić ukochanego dziadka bohaterem literackiej ballady prozą.



Czas życia kresowej rolniczej rodziny ujęty został przez autora w ramy egzystencjalne i metafizyczne jednocześnie. Życiorysy poszczególnych domowników wtapiają się nie tylko w historię polskich tragicznych wydarzeń wojennych i powojennych, stają się również uniwersalnym losem człowieka dotkniętego przemijaniem, bolesnym fatum, z jakim trudno się mierzyć. Utrata domostwa z ciepłym paleniskiem, gdzie można się ogrzać i dokąd wrócić, jest niepowetowaną stratą w życiu każdego, kto kocha swoje gospodarstwo, rodzinny stół i świąteczne biesiadne wieczory. Jest to zatem metaforyczna opowieść potomka ludzi, którzy, utraciwszy swoje korzenie, próbowali ocalić je w obyczajach codziennego bytowania, w sposobie mówienia i świętowania, np. Bożego Narodzenia, gdy kolejność spożywania skromnych potraw w Wigilię staje się uroczystym rytuałem wznoszącym biesiadników ze stanu poniżenia wygnańców do godności strażników tradycji:

„Z czasem hasło „daj na telewizor” stało się tak samo wigilijne, jak pachnący mułem i smażoną margaryną karp i kompot z suszu, które zawsześmy pili na sam koniec, kompot gęsty, palony, jakby zaprawiany mączną zasmażką, dymiony. Zdawało się nawet, że to nie sam kompot się pije, ale gęsty dym się skropił w garnku, zapach jędrzychowskich krajobrazów. Dziadek i wujek Wiesiek pili kompot w garnuszku, bo zawsze pili w garnuszku, a więc w emaliowanym, metalowym kubku, dziadek zawsze w brynzowym, zalutowanym, Wiesiek zawsze w białym z czerwonym kwiatem. Wigilia, nie Wigilia, oni zawsze w garnuszku” (s. 82).



Józef Jach z żoną Genowefą i dziećmi (Jędrzychów, 1963) Archiwum Autora

Żeby móc opowiedzieć historię o ludziach, którzy w snach marzyli o powrocie na ziemię drohobycką, autor stworzył oryginalny język, przepelniony po brzegi jak wiadro wodą najróżniejszymi detalami, w jakim opowiada ich świat obecny i utracony – w tym języku obracającym się na pograniczu snu i jawy, ludowych powiedzeń i mądrości wyczytanej w książkach dzieją się sprawy rzeczywiste i wyobrażone, dokonane i snute w marzeniach. Poruszający jest opis zimowego krajobrazu kojący nostalgię mieszkańców z Kresów w ponemieckim domu podczas wigilijnej nocy, kiedy obowiązują porządki i prawa przekazane przez przodków, bo domownicy pragną, by wszystko było tak jak kiedyś.

Ireneusz Staroń mówi ustami krewnych o życiu, jakie się wokół nich toczy, patrzy ich oczami na pola i lasy w śniegu, lecz daje znaki, że kreacja literacka ma tu swoje prawa. W wielu opisach znajdziemy porównania kierujące naszą uwagę w stronę ludowej stylizacji rodem z poematów Tadeusza Nowaka czy nasyconej zmysłowością narracji Brunona Schulza. Ważny jest zapach i dotyk, słuch i patrzenie, czuwanie i przeczuwanie: „Za oknami noc. Sypie jakby kto wyrzucał ścinki okładek i stron. [...] Ogród zimowy jak w zmrożonym akwarium zalanym lodowatym zmierzchem. Jedynie wirujący śnieg sprawia, że świat nie zmienił się w kadr z porcelany, nie zastygł i nie zmałał do rozmiarów szklanej kuli wypełnionej wodą i białymi drobkami. Śmiesznej kuli na Mikołajki, od wujka do paczki” (s. 94). Na wzgórzu wspomnień o Kresach buduje się więź międzypokoleniowa, a rozpacz utraty rozjaśniona zostaje nadzieją, że wnuk nie zapomni i wzniesie historię rodu o ton wyżej niż zapiski na marginesie notesu z listą zakupów na zasiew pola: „Od dni, od tygodni późną nocą nachodził mnie jednak strach, bo w pokoju wyczuwałem obecność jakichś obcych, nieznanomych, niejędrzychowskich duchów. Zupełnie tak, jakby do naszego starego domu zakradały się postaci z Łukaszowych fotografii, z tej jego starożytnej kolekcji odbijanek z lubińskiego atelier Fritza Härttwiga. Leżałem potem długo w noc i zupełnie nie mogłem zmrużyć oka. Miałem wrażenie, że ktoś ciągle na mnie patrzy, wychyla się z ciemnego kąta, lustruje z samego szczytu kaflowego pieca” (s. 158).

Każda z przedstawionych postaci otrzymała naszkicowany przez autora metaforyczny portret – tak jak wujek Ludwik, samotnie zmagający się z pracą na roli, bo każdy zasługuje na więcej niż los mu wniesie pod próg, dlatego Staroń przenosi swoich krewnych w inny wymiar niż tylko egzystencjalny i wstawia w świat sztuki i kultury, jakiej nigdy nie byli w stanie poznać, posmakować, uczestniczyć (na wzór *collage*): „Widzę go, jak prześwituje przez burze z deszczu i burze ze słów. Idzie jak wędrowiec z płachtą na głowie na tle alpejskich błyskawic z obrazów Caspara Davida Friedricha. Pada deszcz, a on chroni się za zdartym płaszczem ze słów. Jest jesień, a on idzie przez bruki i piaski niewidzialnych miast, przez wioski i cienie na kłosach zbóż. Wznosi się i opada. Ma w sobie ołów i tlen” (s. 222).

Zapewne autor zdawał sobie sprawę, przygotowując prozatorski debiut tak obszerny (*Wzgórze Bzów*, stylowo dopełnione linorytami Jacka Solińskiego związanymi tematycznie z rodzinną sagą: *Nieustanne przekraczanie; Prowadzony powiewem i inne*, liczy 383 strony), że będzie to niełatwa przeprawa dla większości współczesnych czytelników przyzwyczajonych do tekstów krótkich, informacyjnych, często sensacyjnych lub skandalizujących. Podjął jednak to ryzyko, aby czytający mógł wybrać taki fragment opowieści, jaki go najbardziej zainteresuje i zechce poznać bliżej bohaterów w ich świecie realnym i wyobrażonym, na tle przemieniających się krajobrazów w czterech porach roku, w zapachach jędrzychowskich pól, kwitnących bzów, łąk i jabłoni, gotowanych kartofli i suszonych dymem „ślipek”.

Teresa Tomsia